

Dwa teatry w Warszawie wystawiają w tej chwili komedie radzieckie. Wyborne komedie, każda w swoim rodzaju. „Wyspa pokoju” Pietrowa jest niewątpliwie utworem wyższej klasy, „Tu mówi Tajmyr” jest tylko farsa, ale kto wie, czy pod pewnymi względami nie jest bardziej jeszcze wymowna. Pietrow pokazuje społeczeństwo angielskie, raczej symbolizuje, niż rzeczywiste, dając w znakomitym skrócie syntezę imperializmu. Isajew i Galicz są mniej ambitni, chcą przede wszystkim bawić, ale ohwytając życie na gorącym uczynku dają zajmujący i niezmiernie miły wizerunek rzeczywistości radzieckiej.

A może i więcej nawet: udaje im się odświeżyć i odnowić, na nowo zinterpretować, wyświechtany zdawałoby się do cna gatunek komediowy — właśnie ową farsę, po której już świat się nie spodziewał niczego dobrego a która, jak się okazuje, jest jeszcze pełna możliwości. To wcale nie tak małe osiągnięcie, jakby się mogło zdawać.

Przed wszystkim taka wesoła komedia stanowi wyborne świadectwo dla kraju w którym powstała. Dobrze się dzieje tam, gdzie się umieją tak beztrąco, zarazliwie, młodzieńczo śmiać. Śmiechu i wesołości sfabrykować się nie da. Albo są albo ich nie ma. A tam gdzie są robi się jasno, to fakt. Po wielkim napięciu wojennym, po patosie zwycięstwa, musiał przyjąć wybuch dobrego humoru, radości, śmiechu choćby z niczego, z samej radości życia. Ta radość udziela się widzowi, która bawi się wybornie i klasycznie góraco przy otwartej kurtynie. To pysznie!

Komedie Isajewa i Galicza jest właśnie radosna i to ją różni od farsy burżuazyjnej, która bywała w gruncie rzeczy przeraźliwie smutna, a śmiech jaki budziła był raczej podobny do śmiechu z laskotek, niż do prawdziwej wesołości. Technika autorów radzieckich przypomina technikę klasycznej farsy francuskiej: co chwila *quid pro quo*, co chwila ktoś bierze za kogoś innego, tysiące najdziwniejszych nieporozumień, pięć rzących się coraz zawrotniej. Przywykliśmy ten rodzaj humoru uważać za dość niewybredny, za prymitywny. Wydziwiać sobie można, ale kiedy pójść na „Tajmyr” będziecie się śmiać jak ja, jak wszyscy. A co ważniejsze nie będziecie się w duszy wstydzić tego śmiechu, jak to bywało na mieszczkańskich farsach, ale wyjdziecie ubawieni na resztę wie-

Irena Krzywicka

KOMEDIOWE ZWIERCIADŁO

czoru odmłodzeni tym śmiechem, jakbyście byli na naprawdę wesołej zabawie studenckiej.

Bo co by się działo na scenie w owej klasycznej mieszczkańskiej farsie (dobrze jeszcze jeżeli pochodzenia francuskiego!). Byłoby łóżko na scenie, kokotka, zdradzony mąż, kochanek i teściowa. Wszystko smutne niemal do łez. Płaśnie, trywialne, brutalne. Czy tylko farsa była taka?

Zdarzyło mi się być niedawno w Faryżu na komedii głoszona w swoim czasie bulwarowego pisarza Bernsteina, który postanowił po wojnie na nowo podbić Francję, wznawiając swoje dawne sukcesy. Z trudem dosie działałem do końca na tym „Sekrecie”. Wstrętny, próźniaczy, głupi świat irytujące idiotki, na których temat się tużnie psychologizuje, dowcipy które wywołują spazm ziewania. Szyk, dowcip, wdzięk, o których się tyle ongi mówiło, uleciały się bezpowrotnie.

Co dziwniejsze, widziałam wkrótce potem głośną ongi sztukę pt. „Straszni rodzice” Jean Cocteau, w swoim czasie awangardzisty w literaturze. Uderzyło mnie w niej, o dziwo, podobieństwo do Bernsteina! Z biegiem lat różnice się zacierają, podobieństwa zostają. Znowu mieszczaństwo, płaskość, tępota, ohyda i jakiś mizerny buniek. Pewien typ sztuk jest już

dla nas dziś nie do zniesienia, mimo ich dużego nieraz kunsztu. Zato przy mitywniejsza, naiwniejsza, ale pełna świeżości komedia, jak choćby ów „Tajmyr”, umie zatrzymać naszą uwagę.

Na czym jej wdzięk polega? Nie na technice bo jak powiedziałam jest ona raczej tradycyjna i niezbyt wymyślna. Polega przede wszystkim na całkowitym odnowieniu tematyki i na bezpośredniości humoru, w którym nie czuje się zimnej kalkulacji zawodowych fabrykantów dowcipu i dostawców teatralnych. Zamiast kokotki, niewiernej żony i sprzedanej pokojówki, widzimy równie śliczne, ale o ileż miłsze: uroczą geolożkę (przepraszam za neologizm), miłą pszczelarke, energiczną dentystkę, a jeżeli znajdzie się i tu wydra, zresztą na dalszym planie, to widocznie dlatego, że z tym gatunkiem żaden ustroj sobie nie poradzi.

Zamiast żalostnego zdradzonego męża i irytującego kochanka, widzimy cały zastęp sympatycznych dzielnych i pełnych życia ludzi, którzy bawiąc nas, budzą jednocześnie najlepsze uczucia. Farsa pozytywna! — nie tego jeszcze nie było, jak świat światem, i dlatego nie bagatelizujmy niemałego, w istocie swej, osiągnięcia dwóch autorów radzieckich. Powiedzieć nowe słowo w literaturze, choćby skrom-

niętkie słowo, to nie bagatelizacja! A jeszcze w dziedzinie humoru!

Nie będę oczywiście streszczała sztuki bo każdy i tak zechce ją zobaczyć. No i dlatego, że przy streszczeniu z tej całej zwiariowanej akcji nicby nie zostało. Powiem tylko, że tematem tej zdumiewającej farsy jest nie tylko miłość, ale i przyjaźń między ludźmi, chęć wzajemnej pomocy, ztracenie się dla ogólnego dobra, poczucie obowiązku społecznego, instynkt picnierski, same cnoty, psia kość i te onoty nie są nudne! Słyszane to rzeczy? Nie, nie słyszane. Bo to jest naprawdę coś nowego. Gdyby nie to, że sama zażmiewałam się jak dziecko, nigdy nie uwierzyłabym że to wszystko może być wesołe i zabawne.

Ta nowa tematyka jest nierozdzielnie związana z atmosferą miłości: kraju i jego problemów, i jego ludzi. Większość osób występujących to młodzież. A ci starsi są również bezpośredni i zapałni jak młodzi. To wszystko jest niezmiernie sympatyczne. Co jeszcze uderza w tej sztuce, to fakt, że widzimy na scenie samych inteligentów.

Ciekawam czy to dałoby do myślenia społeczeństwu zachodnim gdyby im pokazano tę sztukę? To że ktoś jest inteligentem rozumie się samo przez się w tej rzeczywistości radzieckiej. Każdy z tych młodych ukłaczył jakiś wyższy zakład naukowy, każdy ma wysokie ambicje w stosunku do swej pracy i każdy traktuje ją jako najistotniejszą treść swego życia, nie jako nudną możliwość zarobku. Jeżeli sztuka jest zwierciadłem życia, to trzeba przyznać, że komedie Isajewa i Galicza odbijają piękną rzeczywistość.

Teatr Nowy znalazł w „Tajmyrze” murowany sukces i dał w reżyserii p. Mellera przedstawienie utrzymane w dobrym tempie i humorze. Aktoży niezupełnie znaleźli właściwy styl gry dla tego rodzaju sztuki. Tu potrzebna jest zupełna bezpośredniość i naturalność, a tym czasem czuło się, że to są aktorzy i że grają.

Gdybyż przyjechał do nas jakiś teatr radziecki i pokazał, czy wraz ze zmianą tematyki zmienił się u nich i styl gry. Z pewnością. Zresztą grano może nie tak jak potrzeba, ale na warszawski sposób dobrze. Zwłaszcza Chmielewski i Fertner trafili, jak się zdaje, we właściwy klawisz. Z pań była najlepsza Sykulska. PP. Cygler i Fidler grali z zapałem i humorem



Na zdjęciu Fertner i Sojecka w jednej ze scen sztuki pt. „Tu mówi Tajmyr”, granej w Teatrze „Nowym” w Warszawie